

Helena Wielowieyska, *Hamlet w Teatrze Polskim*, „Teatr” 1947.

Ma słuszość Jarosław Iwaszkiewicz, kiedy pisze we wstępie do "Programu" teatralnego, że "wszystkie wielkie dzieła... obrosły przez szereg wieków całym gąszczem komentarzy i rozważań" i że raczej należy do nich podchodzić "odrzucając wszystkie komentarze, nie słuchając co mówią o nich uczeni filologowie" i że "Hamlet jest morzem, na które najlepiej puszczać się bez busoli", o ile chce się uchwycić właściwy sens przeżycia artystycznego i bezpośredniego wzruszenia, którego dostarcza nam ten utwór.

Wiedza o Hamlecie jest dziś jut tak rozległa, że felietonista nigdy w swoim sprawozdaniu nie doszedłby do właściwego celu, tj. do relacji z oglądanego przedstawienia, gdyby ulegając chęci popisania się swoją erudycją, chociażby tą, zdobytą w ogólnokształcącym gimnazjum, na wstępie swojego felietonu zapuścił się w rozważania filologiczne.

Dlatego stwierdzam, nie wdając się w dowodzenie, że inscenizacja Hamleta w Teatrze Polskim jest wynikiem głębokiego przemyślenia ludzi uzbrojonych w cały arsenał wiadomości i przyczynków, których może dostarczyć hamletologia. I że napewno filolog, na każdy ze swoich ewentualnych zarzutów w sprawie inscenizacji otrzymałby wyczerpującą, uzasadniającą odpowiedź.

Główną zaletą "Hamleta" w Teatrze Polskim jest piękny przekład Jarosława Iwaszkiewicza, staranne i logiczne opracowanie samego tekstu. Skrót, stosunkowo niewielkie są stosowane konsekwentnie z myślą o uproszczeniu tej rozrosłej tragedii, o wydobywaniu na pierwszy plan tych wszystkich momentów, które są konieczne, aby dalszy ciąg akcji był logicznym następstwem zdarzeń dla widza już wiadomych. (Np. śmierć Poloniusza jest przygotowana przez rozmowę jego z królem, zwykle przez reżysera opuszczoną, nie zaskakuje nas, gdyż wiemy o tym, że ukrył się za kotarą). Dobrze opracowanie literackie sprawia, że pomimo ciągłych zmian dekoracji, które siekają Hamleta na 15 obrazów, tak sama sztuka jak i poszczególne jej postacie mają wewnętrzną logikę, a rozwiązanie nie jest luźnym, jeszcze jednym pośród wielu pięknych obrazów, tylko konsekwencją zdarzeń - tak jak te zdarzenia wypadkową "losu" i "charakterów".

Inszenizacja Hamleta w Teatrze Polskim - może słusza i uzasadniona w szczegółach - jako całość wywołuje sprzeciw. Oczywiście nie uczonego i znawcy - sprzeciw barbarzyńcy. Naiwnego widza, który nie pyta o historyczny i teatrologiczny rodowód tego czy innego posunięcia. Sprzeciw prosiaczka, poławiacza wzruszeń. Rozbicie Hamleta na 15 obrazów, ciągle, w końcu nieznośne już zmiany dekoracji są powodem, że przedstawienie trwa przeszło cztery godziny. Dokładnie, cztery godziny dwanaście minut!

Fascynująca bajka o królewiczu Hamlecie, obraz ciągłej, bogatej w przeżycia psychiczne walki wewnętrznej bardzo wrażliwego człowieka, albo jak kto woli tragiczna i beznadziejna gra z losem rozumiejącego świat intelektualisty - co chwilę przerywa się. Kurtyna spada, słychać tylko buczenie sceny obrotowej, czy podobny do tego, który zapowiada każdorazowe zjawienie się ducha Ojca Hamleta. Następuje obraz znów dobrze przygotowany literacko, w którym dialog po zastosowaniu mądrych skrótów ma ostre tempo, pochłaniające uwagę i zajmujące wyobraźnię. I

właśnie w momencie, kiedy prostaczek, domorosły psycholog wykształcony na nowoczesnej powieści, czy intelektualista zdążył zapomnieć o tym, że znajduje się na przedstawieniu Hamleta w Teatrze Polskim, który oto właśnie staje do konkursu szekspirowskiego - kiedy poddał się bez reszty działaniu sztuki - kurtyna spada, nadlatują bombowce. Gdzieś na zasłoniętej scenie, a może za kulisami, straszy i (to jest właśnie najgorsze), nie wiadomo co wyczynia niepomszczony papa Hamlet. Bajka przerywa się, relacja psychologiczna staje na martwym punkcie, uczestnik gry intelektualnej wsadza przymusowo głowę do ciemnego, brzęczącego ula. I ta okrutna zabawa powtarza się paręnaście razy w ciągu wieczora!

Tymczasem, tak wielka ilość dekoracji nie jest konieczna, a co gorsza sprzeciwia się koncepcji scenografa, prof. Frycza, który wyraźnie efekty kolorystyczne wydobywał z zestawień barwnych kostiumów a nie z zabudowań wnętrz; były one pomyślane wybitnie jako tło, w kolorze stonowane, chciałoby się powiedzieć nijakie, i nie narzucające się natarczywą stylowością. Ta rewia wnętrz zrobiła z inscenizacji Hamleta jakiś ilustrowany przewodnik po zamku w Elsynorze, i tylko dobremu smakowi i umiarkowaniu dyr. Frycza zawdzięczamy, że dekoracja nie zaćmiła i jeszcze bardziej nie rozparcelowała akcji sztuki.

"Hamlet" w Teatrze Polskim został wystawiony z ogromnym nakładem pieniędzy oraz pracy wszystkich wykonawców, z których większość to znani i wybitni artyści. Prawdopodobnie jeszcze niejedno pokolenie królów będzie umierać w płaszczu ze złotej lamy, w którym paradował stryj Hamleta, zanim włoży go na siebie król Herod w jasełkach. I praca, jaką włożyli w swoje role wszyscy artyści na pewno przyczyni się do podniesienia poziomu polskiego teatru. Ale oglądany przez nas Hamlet w "Teatrze Polskim" jest wprawdzie wielkim sukcesu - ale literata, nie inscenizatora i reżysera. Iwaszkiewicza, a nie dyr. Szyfmana.

Może poczucie odpowiedzialności, może zbyt wielki pietyzm dla Szekspira przeszkodziły mu w przekazaniu nam jakiejś zdecydowanej, oryginalnej wizji sztuki, o ile ją posiadał. Nie wiem, czy w Hamlecie należy więcej chodzić czy siedzieć w czasie dialogów, czym interesuje się dyr. Szyfman, nie wiem też, czy w tych dekoracjach i kostiumach należy grać tak jak p. Wyrzykowski czy tak jak p. Chmurkowski, a może tak jak p. Barszczewska, albo jak p. Butkiewicz lub Pancewicz - Leszczyńska. W każdym razie myślę, że trzeba przyjąć jeden styl gry. I że do reżyserii należy, nie krępując inwencji i indywidualności aktorskich poszczególnych wykonawców, zmieścić ich koncepcje ról, w ogólnej koncepcji inscenizacyjnej sztuki.

W rezultacie "Hamlet" dyr. Szyfmana to tyle różnych "Hamletów", ile głównych ról i ile silnych indywidualności aktorskich. Młodzi aktorzy pozostawieni samopas, razem z widownią cierpią widocznie stwarzają nieraz postaci wprost zadziwiające oryginalnością koncepcji, jak np. Rozenkranc i Gildenstern nie wiadomo dlaczego wyglądający na dwóch młodych fircyków. Pętają się dość nieporadnie po scenie i zamiast przeszkadzać Hamletowi, co by uzasadniło jego wobec nich okrutny postępek, przeszkadzają widowni, jako nierozwiązalna zagadka. Zadziwia też swoimi warunkami głosowymi ponury Fortynbras, uosobienie tragizmu, ofiara okrutnego losu, który przeznacza mu opróżniony tron Danii. W każdym razie, nawet obdarzony mierną wyobraźnią widz ma przed oczyma dwie sztuki: jedną, rozwlekłe misterium, którego

arcykapłanem jest p. Wyrzykowski, i drugą, w której ostatecznie mogą pomieścić się wszyscy inni wykonawcy prócz niego.

Na scenie istnieje kakofonia stylów gry, uniemożliwiająca jakąkolwiek orientację i ocenę. Jeżeli przyjmiemy za suchy sposób interpretowania, a raczej "wygłaszania" roli przez p. Wyrzykowskiego, to musimy potępić grę pp. Butkiewicza, Brodzińskiego, Barszczewskiej, Mileckiego i wszystkich innych. I rozumiemy trudne położenie p. Żeleńskiego, któremu przypadło w udziale kontaktowanie się z p. Wyrzykowskim i resztą świata. Jak można stworzyć wyraźną, jednolitą postać, grając równocześnie w paru zupełnie różnych sztukach?

Bo p. Wyrzykowski był bardziej recytatorem, deklamującym rolę Hamleta niż aktorem. Dbał o twoją dykcję, o właściwe wygłoszenie wiersza i jego melodię, nie o postać samego Hamleta. "Hamlet nie hamletyzuje - Hamlet myśli" powiedział Wyspiański. Hamlet p. Wyrzykowskiego nie mógł wcale myśleć, gdyż od pierwszej chwili ukazania się na scenie usilnie i pracowicie starał się pięknie mówić. Odniosło się przy tym wrażenie, że tak dokładnie wie co stanie się za chwilę i co kto powie, że jedyną jego troską jest, aby to, co ma do powiedzenia przed niehybną śmiercią i końcem sztuki było powiedziane bez zarzutu. Nie grał, tylko "wygłaszał" swoją rolę, wbrew naukom moralnym dawanym przez siebie aktorom, mającym grać zabójstwo Gonzagi: "Zastosuj akcję do słów, a słowa do akcji, mając przede wszystkim to na względzie, abyś nie przekroczył granic natury; wszystko bowiem co przesadzone przeciwne jest zamiarowi teatru, którego przeznaczeniem jak dawniej tak i teraz, było i jest, służyć niejako za zwierciadło naturze"... itd.

W Teatrze Małym mamy okazję oglądać Szekspira potraktowanego zupełnie inaczej; tam inscenizacja grzeszy zbyt swobodnym podejściem do tekstu. W "Małym" słyszymy dopisane piosenki i melodię trochę z bliską pierwszych fraz piosenki o "Heniusiu Czyżu". W "Polskim" inscenizacja jest "słuszna i wierna" - jak wyrazili się po przedstawieniu angielscy szekspirolodzy, a ilustracja muzyczna pochodzi od Moniuszki, ale może właśnie z powodu tej przesadnej wierności "Hamlet" dyr. Szyfmana wypadł sztywno i po akademicku. Koncepcję reżyserską i wyraźny cel artystyczny przesłonił bardziej doraźny, zbożny zamiar zdobycia pierwszej nagrody na konkursie.

W każdym razie, taki jakim go widzimy, "Hamlet" w Teatrze Polskim jest ważnym zdarzeniem w naszym życiu teatralnym i wynikiem wielkich wysiłków i powinien być widziany przez wszystkich. A widz, dla którego by trzeba "jasełek albo fars plugawych, bo inaczej zaśnie", niech pozwoli sobie powiedzieć, że sztuka teatralna w Japonii potrafi podobno trwać osiemnaście godzin i że z tego powodu nikt tam nie "uskutecznia" sobie "harakiri".